

Nokturn na dwie osobowości

(Dokończenie ze strony 19)

Kto obiecywał komukolwiek, że będzie łatwo kochać, istnieć, tworzyć? „Kocham cię w stanie przychodzącym odchodzącym / po spożyciu i bez wskazania na / nie”. Kocham. Po prostu.

W miarę lektury wyraźne z pozoru światy przestają być oczywiste. Tak jak nieoczywiste są wszelkie ekstremalne wybory. I te wynikające z trwania i te z rezygnacji. Ze słabości mierzenia się z każdym dniem. Niepokojące ilu ludzi współczesnej cywilizacji, ucieka dokądkolwiek i w cokolwiek byle w niej nie uczestniczyć. Tak, jakby świat bolał. Ale niepokój wznaga się przy głębszym poznaniu historii, gdy przekonujemy się, że zawsze istniała armia ludzi żyjących w ucieczce. Niewielu z nich miało swoją Sister Kate.

Trudno ocenić czy naprawdę Kate jest bohaterką tej opowieści. Czy może raczej On? A może po prostu świat między nimi? Wyasfaltowany na czarno. Z zakrętami. Z wyborem torów w odpowiednim lub nieodpowiednim momencie.

Gdyby rozpatrywać filozofię Jego, to jest to klasyczny przykład kalwińskiej idei predestynacji. „Znów nic nie zależało ode mnie”. To najprostsze usprawiedliwienie żyjących w ucieczce. To nie ja jestem słaby, to nie ja się boję. Po prostu ... nic nie zależy ode mnie. Takiego mnie stworzono. Winni są zawsze jacyś tajemniczy i nieokreśleni oni lub ci, którzy pozostają z uciekinierami do końca. Wierząc beznadziejnie w ich niemożliwy powrót. Ten, kto się boi nie wraca. Zawsze przerasta go miejsce powrotu. Lub zwykła odpowiedzialność. Uciekający nie chcą i nie potrafią być odpowiedzialni. Do tego trzeba dorosnąć.

Godlewska buduje świat dziejów choroby odwołując się do języka medycyny, genialnego „Lotu nad Kukulczym Gniazdem”, artefaktu szpitalnego uniformu pielęgniarki. Sugeruje, że miejscem akcji jest budynek z salami pełnymi łóżek. Odwołuje się do Sister Kate – pielęgniarki (nie ważne czy chodzi o prywatne pielęgnowanie człowieka, czy zinstytucjonalizowane i z dyplomem), która buntuje się jednak przeciwko kolejnym resuscytacjom. Przywracanie do życia staje się cervantesowską walką z wiatrakami. Donkiszoterią sumienia, które nie akceptuje rzeczywistości i tkwiącego w niej na potężnej kotwicy. Leczenie chorych w pewnych stadiach choroby jest bezcelowe. Kate me tego świadomość. Kate kocha. Kate żyje sobą i żyje Nim. Boleśnie jest żyć w dwóch kierunkach jednocześnie.

Rozmawiają. O stanie ducha (każde ma inną koncepcję pesymizmu - optymizmu w odniesieniu do siebie), o muzyce, o niczym. O niczym rozmawia się najmniej boleśnie. On twierdzi, że nie jest zdolny do empatii. Podobno nie ma ludzi niezdolnych do empatii. Ci co twierdzą, że jest inaczej nie są jeszcze (lub już) ludźmi, albo kłamią. Dręczą Go sny alkoholowe. „Budź się i nie wiem czy jestem nadal trzeźwy”. Bardziej trapi zdziwienie, że stracił Sister Kate, a ona ... wciąż przy nim jest. „Niepewnie zapisuje się we mnie/ pomidorową zupą herbatą i przesłodzonym ciastem”. „Sister Kate/ jest ziemią bez granic/ których nie można przekroczyć ot tak sobie”. Najgorsze są granice wstydu. Najtrudniejsze bezwstydu, gdy stoi się w bramie z butelką.

Książka nie odpowiada na pytanie dokąd prowadzi ta opowieść. Książka jest niezamkniętą diagnozą przypadku. On pyta „ile dni jeszcze ta wojna ile

skór trzeba zrzucić/ żeby wreszcie podniósł się człowiek”. Gdyby wiedział, że tylko jedną – tę utkaną ze strachu.

Sister Kate nie umie już nadal chcieć.

Przedziwna, niekończąca się opowieść w stylu Sylvii Plath. Tylko miłość bardziej skomplikowana. Tylko świat nie taki prosty. A może tylko skomplikowany w ucieczce?

MIROSLAW PISARKIEWICZ

Katarzyna Godlewska, „Sister Kate”, Redaktor: Dariusz T. Lebioda. Wydawnictwo „Tematu”. Bydgoszcz 2010, s. 72.

Czysta nierządnicą

Krakowskie wydawnictwo „Salwator” opublikowało wywiad Ryszarda Palucha z ks. Krzysztofem Wonssem SDS, kierownikiem Centrum Formacji Duchowej w Krakowie. Na okładce książki wydawca pisze, co publikacja zawiera, o czym ona jest: a więc i o tym, dlaczego nudzimy się sami sobą, o wielkich pragnieniach, które skutecznie gasimy, o świętości „lukrowanej” i zwyczajnej, o Kościele – czystej nierządniczy...

Przyznam, że trzy ostatnie słowa zaszokowały mnie! Sprawdzam: jest *Impromi potest* z 21 kwietnia 2008 roku wydany przez prowincjała ks. Jana Folkerta SDS. A więc wszystko w katolickim porządku. Szukam zatem w teście „Niewysłuchanej ciszy” wytłumaczenia nazwania Kościoła – czystą nierządnicą. Przekonywujące znalazłem (a już książkę w zdenerwowaniu chciałem od siebie odrzucić!) na stronie 46. Cytuję *in extenso*: „Kościół jest święty, ale jednocześnie pozostaje Kościołem grzeszników, który na co dzień zmagają się ze złem, zna smak grzechu, ludzkiej biedy, odejścia, zdrady... Dobrze pamiętał o tym ojcowie soborowi, skoro każde posiedzenie rozpoczynali od modlitwy „Adsumus”, pochodzącej z VII wieku, prosząc Boga, aby nie zwiódł ich wzgląd na podarki i osoby”.

O. Yves Congar OP w swoim dziełku „Kościół, jaki kocham” pisze, że aluzje do wymienionych wad nie były wcale wytworem wyobraźni. Nie brakuje w historii soborów dowodów na brutalność, prostactwo i sensacje. Trzeba jednak przyznać, że nie przyszło łatwo wypowiedzieć głośno i oficjalnie tego, o czym wiedzieliśmy z życia. Ojcowie soborowi Vaticanum II po długich debatach potrafili mówić o Kościele nie tylko świętym, ale i grzesznym. Wypowiedzieli głośno to, co przecież na co dzień widzimy i przeżywamy wszyscy. Wyznali i zapisali w kluczowym dokumencie *Lumen gentium*, że Kościół, obejmujący w swym łonie grzeszników, jest święty i zarazem wymagający oczyszczenia, ciągle potrzebuje pokuty i odnowy (nr 8). Słusznie, że nas, ludzi Kościoła, mocno boli, ale nie gorszy wizja Dantego, który ujrzał siedzącą w pojeździe Kościoła babilońską prostytutkę. Były w historii momenty, w których sami hierarchowie, jak pisze Józef Ratzinger we „wprowadzeniu w chrześcijaństwo”, patrząc na ciężkie grzechy Kościoła, drętwieli z przerażenia, bo nie przypominał już oblubienicy, ale potwora.

Nie mamy złudzeń, że świętości Kościoła nie należy rozumieć jako świętości jego członków. Niech mi pan powie, kto z nas czuje się świętym? Nikt! Kto grzesznikiem? Każdy! Nie jesteśmy Kościołem świętych. Jesteśmy grzesznikami świętego Kościoła, a to jest duża różnica. Najtrafniej ujął tę prawdę św. Ambroży, kiedy nazwał Kościół

Casta meretrix – „Czystą nierządnicą”. W Kościele grzeszy każdy z nas, nie wyłączając papieża ani biskupów, ani kogokolwiek. Lecz jako taki, Kościół nie grzeszy. Pozostaje święty, ponieważ świętość Jezusa Chrystusa pozostaje obecna pośród najbardziej grzesznych ludzi. Nie usunie jej żaden grzech. Tak było od jego narodzin. Pamiętamy przecież, że już u samego początku Kościół Jezusa, który tworzyła pierwsza wspólnota Apostołów wraz ze swoim Mistrzem, doskonałym formatorem, dotknął dramat odejścia jednego z najbliższych uczniów. Pomyślmy: Jezus w łonie pierwszej wspólnoty, którą przecież On sam stworzył, przeżył grzech zdrady Judasza. I tak będzie do końca. Kościół pozostanie Kościołem, w którym żyją skutki grzechu, w którym zło nieustannie się odradza, ale też z Kościołem, w którym zło jest nieustannie pokonywane przez Zbawiciela. I każdy, kto wezwie Jego imienia, będzie zbawiony! (por. Rz 10, 13).

Prawie 40 lat temu młody biskup J. Ratzinger w radiu heskim powiedział m. in: „Przyszłość Kościoła zależy od tych, którzy mają głębokie korzenie i żyją pełnią wiary, a nie od tych, którzy próbują jedynie „wypisywać recepty”, którzy krytykują innych, a siebie uważają za nieomylnych”. Miał rację św. Ambroży, wygłaszając pozornie szokujące zdanie! Kościół jest czysty, wszystko i wszystkim daje darmo, tak prosto wytłumaczył mi sentencję świętego mój syn, proboszcz w Będkowi-cach.

EMIL BIELA

„Niewysłuchana cisza” – z ks. Krzysztofem Wonssem SDS rozmawia Ryszard Paluch. Wydawnictwo „Salwator”, Kraków 2008, s. 210.

Głód uczuć

Znana dotąd jako poetka i autorka recenzji literackich, **Teresa Januchta**, wydała swoją ósmą książkę, tym razem powieść. Wrażliwy czytelnik od pierwszych stron zauważy, iż tę prozę pisała poetka. Rzecz jest niewielka w objętości, za to skondensowana w treści. To także dowód na wyjście do prozy z dojrzałego warsztatu poetyckiego. Pozornie tego nie widać, gdyż książkę czyta się jednym tchem, tym bardziej że treść jest obrazowa: czytając, niejako widzi się film. Przede wszystkim jednak jest to efekt potoczności stylu, umiejscowienia operowania składnią i kompozycją fabulej.

Powieść można by nazwać współczesnym romansem, lecz o tyle nietypowym, że opowiada o miłości „świeżo upieczonej emerytki”, Magdy, do zakonnego księdza. Magda jest kobietą po przejściach, miała nieudane lub przedwczesnie zerwane związki z mężczyznami, jest wykształcona muzycznie, utalentowana także w innych dziedzinach. Gra i śpiewa, maluje, pisze wiersze, wydała kilka innych tomików. Jest nieprzeciętnie inteligentna i otrąskana z meandrami życia. Ciągle jednak niespełniona w miłości. Przy czym nie ma temperamentu erotomanki.

Jej głód miłości to głód uczuć. Toteż – strofując się często w duchu – ulega fascynacji o. Stefanem, pozwala rozpalic się własnemu uczuciu i zachowuje się niemal jak zauroczona 17-latką. Najbardziej szalenie jest to, że w tę miłość wierzy. Ma jednak pecha, bo Stefan, facet sporo od niej młodszy, nie ma zamiaru porzucać sutanny, choć chętnie ubiera się po cywilnemu, nawet nie zakładając koloratki. Świetnie prowadzi własny samochód, nade wszyst-

(Dokończenie na stronie 24)